

Oświadczenie złożone przez senator Janinę Fetlińską na 47. posiedzeniu Senatu w dniu 13 stycznia 2010 r.

Oświadczenie skierowane do ministra spraw wewnętrznych i administracji Jerzego Millera oraz do prezydent miasta stołecznego Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz

Warszawska akcja usuwania krzyży stawianych ofiarom wypadków drogowych z poboczy dróg wzbudziła u wielu Polaków niesmak i zażenowanie. Zawiadomił mnie o tym między innymi pan Krzysztof Z. wraz z grupą warszawskich motocyklistów. Akcję podjął Warszawski Zarząd Dróg Miejskich, tłumacząc ją wymogami prawa o ruchu drogowym. Skoro akcja została przeprowadzona zgodnie z prawem, to czemu pod osłoną nocy, a nie w świetle dziennym? Zastanawiające jest, dlaczego właśnie akcję tę przeprowadzono miesiąc po szokującym wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka nakazującym usunięcie krzyży z włoskich szkół. Jeszcze niedawno krzyże, które w niektórych miejscach stoją od kilku lat i traktowane są przez bliskich ofiar jak alternatywne nagrobki, nikomu nie przeszkadzały. Co sprawiło, że Zakład Oczyszczania Miasta dostał zlecenie akurat teraz? Dlaczego ZDM nie wystąpił z inicjatywą, aby ludzie sami te krzyże zabrali, tylko zdecydował o ich usunięciu? Przecież wiele z tych krzyży było poświęconych.

Stawianie krzyży ofiarom śmiertelnych wypadków drogowych wrosło już w naszą kulturę i tradycję. W ten sposób upamiętniamy bliskich, którzy odeszli w tragicznych okolicznościach. Przy wielu traktach od wieków spotykamy kapliczki, bardziej niebezpieczne od prowizorycznych krzyży, gdyż często solidne, murowane. I nikt nie nawołuje, aby je usuwać.

Tłumaczenie, że krzyże stanowią zagrożenie dla uczestników ruchu drogowego w sytuacji, gdy rzeczywisty stan dróg mocno odbiega od standardów europejskich, gdy dziura piętrzy się na dziurze, a ulice są słabo oświetlone i źle zabezpieczone, nie są przekonujące. Gdybyśmy przyjęli ten tok rozumowania, doszlibyśmy do prostych wniosków, że trzeba wyciąć wszystkie przydrożne drzewa, a wszystkie znaki drogowe i sygnalizację świetlną montować na umieszczonych nad jezdnią stalowych mostkach, których ramiona podtrzymujące byłyby oddalone od ulic o kilkadziesiąt metrów.

W innych miastach jakoś krzyże poświęcone ofiarom wypadków drogowych nie stanowią zagrożenia, a nawet według opinii policji pełnią w pewnym sensie rolę prewencyjną, bo przypominają kierowcom, do czego może doprowadzić brawura, lepiej niż „czarne punkty”. Widok takich krzyży pobudza refleksje, ludzie zaczynają mimowolnie ograniczać prędkość.

Krzyże stawiane na miejscu wypadków drogowych są świadectwem cierpienia, które się tam zdarzyło, oraz wiary i pamięci osoby, która to czyni. Administracyjne decyzje o usuwaniu krzyży z miejsc wypadków są świadectwem bezdusznego stosowania litery prawa, które zabrania stawiania w pasie drogowym krzyży, a zezwala na dużo większe i bardziej rozprasające uwagę kierowców reklamy.

Nie popieram masowego ustawiania krzyży przydrożnych, gdzie popadnie, choć rozumiem intencje, jakie przyświecają rodzinom ofiar oraz ich uczucia. Nie mogę się jednak zgodzić na masowe i bezmyślne ich usuwanie. Czyż nie można usuwać w porozumieniu z rodzinami ofiar tylko tych krzyży, które faktycznie mogą stanowić zagrożenie? Czyż nie można pozostawić krzyży przy zachowaniu odpowiednich warunków: materiału, z którego są wykonane, wysokości, odległości od jezdni?

Janina Fetlińska